

wolał wkońcu, doprowadzony do zniecierpliwienia — Muszę jutro znaleźć sposobność do rozmówienia się z nim.

Łatwiej to było powiedzieć, niż spełnić.

Słowo Byrd nazajutrz zjawił się przy wspólnym stole w godzinie śniadania, nagle cisza, którą przyjęło jego wejście, dała mu do zrozumienia, że właśnie musiano mówić o nim i to w sposób nie bardzo widocznie życzliwy, bo przyjęło go zimno i z wyszukaną obojętnością. Po śniadaniu pani Hart poprosiła go na chwilę rozmowy i oznajmiła, nie bez pewnego zmieszania, że dawny jej gość. bardzo jej sympatyczny zresztą, zapowiedział swój przyjazd na wieczór, a ponieważ on to zajmował zawsze pokój, jemu odstąpiony, nowy jej lokator będzie zmuszony dziś jeszcze od niej się wyprowadzić.

— Przykro mi bardzo — kończyła pani Hart, unikając wzroku Byrda — ale inaczej uczynić nie mogę. Jeżeli pan sobie życzy, chętnie służyć będę poleceniem innego, znajomego mi pensjonatu.

Byrd i tym razem ukrył swoje niezadowolenie i odpowiedział uprzejmie, że niedy by sobie nie wybaczył, aby przez niego pani Hart miała stracić stałego gościa i natychmiast opuścił swój pokój.

— To robota tego przekłętą Browna! — mruzczał, zamykając swój kuferek. — Ale my się jeszcze spotkamy.

Załatwiwszy tę czynność, usiadł, aby się zastanowić nad dalszym planem działania. Nie czuł się zresztą całkiem niezadowolonym. Przez jeden wieczór wykrył trzy bardzo ważne dla niego rzeczy pomimo usilnych przeszkód, nastawionych przez nieznanego przeciwnika.

Najsamprzód, że Cyryl Morgan wynalazł sposobność nie zjawienia się na pogrzeb ciotki, że młody człowiek był wynalazcą, pracującym teraz jeszcze nad skonstruowaniem nowej maszyny i że w dniu zbrodni Cyryl Morgan wydal się z pensjonatu pani Hart.

Pozostało tylko dowiedzieć się, czy w tym czasie widziano go w fabryce. Tego wyjaśnienia mogli Byrdowi udzielić tylko dyrektorzy rafinerii. Do nich więc Byrd zamierzał się udać i odkryć w razie potrzeby, kim był i czego szukał.

Ale od tej chwili nieszczęście zaczęło go prześladować.

W rafinerii P. P. Harrison et Chamberlain, tak samo, jak w pensjonacie pani Hart, spotkał zimne i odcinające przyjęcie i niewytłumaczoną jakąś nieufność.

Kiedy zapytał o dyrektorów, odpowiedziano mu, że pan Harrison nie był obecny, a pan Chamberlain tak zajęty, że nie przyjmuje nikogo. Główny inżynier, pan Goodmann, był chory, a kasyera nikt nie mógł odnaleźć.

Wobec tak widocznej zlej woli i niechęci. Byrd musiał ustąpić. Postanowił jednak jeszcze raz próbować szczęścia przy panu Goodmannie, który, nie będąc dnia tego w fabryce, mógł nie być przygotowanym tym tajemniczym wpływem, który odczuwał wokoło siebie.

Pan Goodmann przyjął go w niezbyt zachęcający sposób. Ale zły humor inżyniera mógł być wytłumaczonym silnym atakiem podagry, który na kilka dni przykuł go do fotela.

— Morgan? — powtórzył, wznosząc brwi wysoko, kiedy Byrd zapytał o młodego inżyniera tego nazwiska — A tak! Jest jakiś Morgan w naszej fabryce.

Poczem dodał, przyglądając się badawczo detektywowi:

— Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego się pan pyta o niego?

Byrd postanowił zagrać w otwarte karty i wystąpić urzędowo.

— Bo sądzę, że pan będzie mógł udzielić mi pewnych wyjaśnień!

— Wyjaśnień o panu Morgan? Nie rozumiem.

— Wyjaśnienia te są bardzo ważne dla policyi.

— Dla policyi?

— Tak jest, proszę pana. Jestem przysłany tutaj przez prokuratora z Sydney, aby się dowiedzieć, gdzie pan Cyryl Morgan znajdował się w dniu 28. listopada.

— Otóż to jest jasne i szczere, mój panie! — zaopiniował pan Goodmann — Ale dlaczegoż pan się nie zwrócił do pana Morgan z tem zapytaniem? Zapewne odpowiedziałby na nie z przyjemnością.

Ton, w jakim wypowiedziane były te słowa, ostrzegł Byrda, że należy działać ostrożnie. Prądopodobnie stary inżynier był przyjaciółm Cyryla Morgan i co z samej rzeczy wynika, nie usposobiony do mówienia o jego sprawach z człowiekiem obcym.

— Nie wątpię ani na chwilę, że pan Morgan nie uchyliłby się od dania odpowiedzi — odparł Byrd grzecznie — ale ten młody człowiek jest pod

wrażeniem przykrego ciosu, jaki go dotknął i nie chce się przyczyniać do jego niepokoju. Pewna osobistość ze Sydney, której nazwiska wymienić nie mogę, pozwoliła sobie przypuścić, że pan Morgan, siostrzeniec zamordowanej pani Clemmens, był również, jak i oskarżony Hildreth, interesowany w tej sprawie. Jednemu i drugiemu w równej prawie mierze zależało prawie na śmierci pani Clemmens. Ta insynuacja oczywiście nie opierała się na żadnych materialnych dowodach. Nie wiadomo nawet, czy pan Morgan znajdował się w Sydney w dniu krytycznym. Ale obowiązkiem policyi jest nie zaniedbywać najmniejszej poszlaki, mogącej rzecz całą wyjaśnić. Dla tej przyczyny udałem się do Buffalo. — Przekonałem się w sposób dyskretny, że pan Morgan wydal się z domu w dniu 28-go listopada, ale to przecież nie udowadnia, że w dniu tym był w Sydney. Jestem nawet przekonany, że, przy do brej woli pana, moglibyśmy wynaleźć korzystne alibi dla pana Morgana i nie poruszać więcej tej przykrej sprawy.

Pan Goodmann wysłuchał spokojnie przemowy Byrda, ale zachował dalej swój ton zimny i obojętny.

— Bardzo żałuję — rzekł wkońcu — ale nie mogę panu dać żadnych wyjaśnień co do mojego kolegi. Musi się pan sam z nim rozmówić.

— Czy nie wyjeżdżał w tym czasie z polecenia panów dyrektorów?

— Nie.

— Ale było panu wiadomem, że zamierza wyjechać?

— Tak.

— Wie pan, którego dnia powrócił?

— Był w biurze 29-go we środę.

Nie dając się zbić z tropu lakonizmem starego inżyniera, Byrd zaryzykował jeszcze:

— Pan Morgan jest wynalazcą, o ile mi się zdaje. Czy się mylę?

— Nie.

— Podobno opatentował motor swojego wynalazku i szuka człowieka z kapitałem, któryby się tem zainteresował?

— Zdaje się, że tak.

— Czy nie przypuszcza pan, że pan Morgan mógł się udać dnia tego do Nowego Jorku w poszukiwaniu kapitalisty?

— Nie wiem.

— Byłoby to rzeczą całkiem naturalną i gdybym wiedział, że się nie mylę w przypuszczeniach, powróciłbym do Sydney, zwolniony z przykrej mi syi, która mi ciąży.

Szczera sympatya, dźwięcząca w głosie Byrda, kiedy mówił o nieobecny i widoczna jego szczerość, odchyliła lodową zaporę, którą się opancerzył pan Goodmann.

— Pomimo woli zmusza mnie pan do mówienia o cudzych sprawach — rzekł z wahaniem. — A więc rzeczywiście Morgan zwierzył mi się z zamiarem swojego wyjazdu. — Cudziło mnie właśnie o opatentowanie tego wynalazku. Ale pozatem nie mówił, do którego miasta zamierza się udać — dodał tonem, który uniemożliwiał już dalsze badanie.

Byrd powstał więc z zamiarem pożegnania inżyniera. Spostrzegł wówczas, że nie znajdował się sam w gabinecie pana Goodmanna podczas tej rozmowy.

Młody chłopczyk, ośmioletni czy dziewięcioletni, który dotąd siedział na dywanie za fotelem, zerwał się i podbiegł do drzwi, otwierając je szeroko. Kiedy Byrd wyszedł, podążył za nim do przedpokoju i tam nagle uchwycił go za rękę, mówiąc proszącym, nieśmiałym głosem:

— Och, panie! Niech pan nie pozwoli, aby uczyniono co złego panu Morgan! On taki dobry! Ja mogę panu powiedzieć, gdzie był tego dnia, bo ja wiem, wiem! Chce pan, to powiem!

— Powiedz, dziecko, powiedz! — szepnął Byrd, dziwnie wzruszony.

— On nie był w Nowym Jorku! Nie mógł tam być, bo przysłał do tatusia list, a tatuś dał mi znaczek pocztowy do mojego zbioru. Na tym znaczku wyczytałem: Monteith.

Poczem, nie czekając na odpowiedź, chłopiec wybiegł z przedpokoju, dumny z zasługi, jaką oddał swojemu przyjacielowi, panu Morgan.

Byrd zaś przeciwnie doznał dziwnej przykrości. Wiadomość ta zaskoczyła go boleśnie.

Monteith, to była pierwsza stacja kolejowa pomiędzy Buffalo a Sydney.

## Dруга ścieżka.

Aresztowanie Goodmana Hildreth zadowoliło na razie ciekawość publiczności i zwróciło jej uwagę w stronę oskarżonego.

Nikt więc nie kontrolował czynności Byrda po jego powrocie do Sydney i pozwolono mu działać dalej w spokoju i rozważnie.

Pierwsze wywiady nie dły mu nic więcej nad to, co oczekiwał. — Nie widziano siostrzeńca pani Clemmens, ani nikogo innego, podobnego do niego, na stacji w Sydney w dniu 28 listopada. Nie widziano go również w tramwaju, idącym z dworca do miasta.

— Zapewnie w Monteith znajdę to, czego tutaj szukam! — powiedział sobie Byrd.

Ale przed udaniem się do tego miasteczka chciał jeszcze wyekspluatować z gruntu lasy okoliczne, był bowiem przekonany, że tam się musiał schronić morderca po dokonaniu zbrodni.

Teraz, kiedy już odkrył ścieżkę, prowadzącą do willi profesora Darlinga, Byrd nie potrzebował męczyć się i błocić, przechodząc bagniska, ciągnące się za Białym Dmkiem. Wsiadł więc na tramwaj, idący aż do West Rigde, skąd wkrótce dostał się do polanki, na końcu której zauważył był szopę węglarzy.

Tym razem nie spieszył się z obejrzeniem tej szopy, która zawierała zresztą tylko stół i ławę bardzo prymitywnej roboty. W jednym rogu wznosił się stos gałęzi i chrustu, przygotowany widocznie dla wzniesienia ognia.

Wychodząc z polanki, Byrd odkrył po prawej stronie szopy, trochę w tyle, inną ścieżkę, która zdawała się prowadzić w stronę przeciwną, niż pierwsza. Ścieżkę tę Byrd postanowił również starannie wybać.

Trudna była do przejścia i dłuższa, niż tamta. Poprzecinana była głębokimi parowami, o brzegach ostrych i skalistych; dalej trochę ciągnęła się przez rozległe karczowisko, gdzie ginęła w gąszczach kolczastych, nie do przebycia. Byrd jednak przedarł się przez tę zaporę i doszedł do wniosku, że ścieżka w odległości kilometra łączyła się z drogą leśną, prowadzącą do stoku wzgórza. Po drugiej stronie rzeki, wijącej się w dole, spostrzedz było można stację kolejową i rozsypane wkoło niej niewielkie domki o czerwonych dachach. Było to zapewne Monteith.

Droga schodziła łagodnie, aż do wybrzeża rzeki, ciągnąc się wzdłuż ku mostowi, widocznemu w pewnym oddaleniu. — I'ąc tedy, trzeba było bardzo okrążyć, ale Byrd nie widział sposobu skrócenia tej drogi. Zresztą nie narzekał wcale na stratę czasu, zachwycony, iż odkrył ścieżkę, którą bez wątpienia biegł morderca pani Clemmens.

Przeszedłszy most, Byrd udał się główną drogą do dworca w Monteith. Dworzec ten był niewielki, zatrzymywała się tam nieliczna ilość pociągów osobowych.

Naczelnik, znudzony i spragniony rozmowy, chętnie zawiązywał znajomość z podróżnymi, którzy się tu zjawiali.

Oznajmił więc bardzo uprzejmie Byrdowi, że pociąg do Sydney nadejdzie dopiero za czterdzieści minut.

— Niewielki tu ruch być musi — zauważył Byrd, siadając na ławce i zapalając papierosa.

— Rzeczywiście — odparł naczelnik — oprócz robotników z kamieniołomów rzadko kiedy widzi się kogo innego.

— Proszę pana! — zahazardował Byrd — Czy nie mógłby mnie pan objaśnić w pewnej rzeczy?

— Ależ owszem, proszę, jestem do usług pana.

— Czy w zeszłym tygodniu nie widział pan... wsiadającego tu do pociągu młodego człowieka... z inteligencji... nie robotnika... bruneta, z gęstym wąsem. Ubranie miał jasne, popielate, albo może też szeroki płaszcz gumowy.

Naczelnik zastanowił się chwilę.

— Tak, tak! — zawołał wkońcu — Złaje mi się, że sobie kogoś takiego przypominam... Ten młody człowiek miał czarne oczy, nieprawdaż? Czarne i z niezwykłym blaskiem!

Byrd przytaknął ruchem głowy.

— Niosł w ręce kwadratowy worek skórzanym! Ten worek właśnie zwrócił moją uwagę swoją oryginalnością!

— Bardzo to możliwe! — odpowiedział Byrd, myśląc o m. d. młodego wynalazcy.

— W takim razie widziałem na pewne tego pana, o którego pan pyta. Widząc go, idącego drogą do dworca, zauważyłem go natychmiast. Był zgrzany, jak gdyby biegł szybko.

(Dalszy ciąg nastąpi).